

BOGUSŁAW TRACZ

<https://orcid.org/0000-0002-0896-1602>, Instytut Pamięci Narodowej, Katowice

DOI: 10.63903/ZaranieSlaskie.11.10

Historiografia nie lubi pośpiechu.

Recenzja książki Dariusza Zalegi *Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska*¹

Zalega D. (2024). *Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska*. Krytyka Polityczna (ss. 272)

Słowa kluczowe: historia ludowa, Górny Śląsk, publicystyka historyczna, krytyka historiograficzna, lewica

Streszczenie

Artykuł stanowi krytyczną analizę książki Dariusza Zalegi pt. *Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska*. Choć publikacja wpisuje się w popularny obecnie nurt historii ludowej i cieszy się uznaniem literackim, recenzent zarzuca jej brak rzetelności naukowej i publicystyczny charakter. Autorowi wytyka się opieranie narracji na przestarzałych PRL-owskich opracowaniach, unikanie głębokich badań archiwalnych oraz stosowanie czarno-białych uproszczeń ideologicznych. W efekcie książka przedstawiana jest nie jako obiektywna rekonstrukcja przeszłości, lecz jako narzędzie do uprawomocnienia współczesnych narracji lewicowych.

Historiography does not like haste

Keywords: folk history, Upper Silesia, historical journalism, historiographical criticism, left wing politics

Summary

This article is a critical analysis of Dariusz Zalega's book entitled *Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska* (*Chachary: A Folk History of Upper Silesia*). Although the publication is part of the currently popular trend of folk history and enjoys literary recognition, the reviewer accuses it of a lack of scientific rigour and a journalistic character. The author is criticised for basing his narrative on outdated, communist-era studies, avoiding in-depth archival research and using black-and-white ideological simplifications. As a result, the book is presented not as an objective reconstruction of the past, but as a tool for legitimising contemporary left-wing narratives.

Dariusz Zalega nie zdejmuje nogi z gazu. W ubiegłym roku ukazała się kolejna – po *Śląsku zbuntowanym* (2019) i *Bez pana i plebana. 111 gawęd z ludowej historii Śląska* (Warszawa 2021) – książka będąca próbą syntezy tzw. ludowej

¹ Opublikowany tekst jest pełną wersją recenzji, która została, w skróconej formie, umieszczona na stronie internetowej Klubu Jagiellońskiego 31 października 2025 roku w ramach cyklu „imPressje Górnośląskie”: B. Tracz, *Patchwork. Ludowa historia Górnego Śląska według Dariusza Zalegi*, <https://klub->

historii Górnego Śląska, a już na stronie Wydawnictwa Naukowego „Śląsk” pojawiła się zapowiedź kolejnej publikacji, tym razem powieści tegoż autora. O ile jednak zapowiadana *Republika węglowa*, jak wynika z opisu, ma charakter historii alternatywnej, o tyle wydane w 2024 roku nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej *Chachary. Ludowa historia Górnego Śląska* aspirują do bycia książką co najmniej popularnonaukową, a umieszczenie jej w serii, w której ukazały się prace m.in. Andrzeja Friszkego, Piotra Macieja Majewskiego czy Jakuba Gałęziowskiego, sugeruje, że mamy do czynienia z historiografią co najmniej dobrą, jeśli nie wybitną. Umieszczone na ostatniej stronie okładki entuzjastyczne rekomendacje Zbigniewa Rokity i Anny Cieplak nie tylko zachęcają do lektury, ale wręcz sugerują, że mamy do czynienia z „siedmiomilowym krokiem” (Rokita) i „porywającą opowieścią” (Cieplak).

Ludowa historia Górnego Śląska według Zalegi wpisuje się w modny od paru lat nurt tzw. historii ludowej, spopularyzowanej w Polsce przede wszystkim dzięki Adamowi Leszczyńskiemu i jego *Ludowej historii Polski* (2020), która osiągnęła status bestsellera, a jej autor znalazł licznych naśladowców i kontynuatorów.

Wystarczy pobieżny przegląd księgarskich nowości, by przekonać się, że moda na „ludową” historiografię wciąż trwa. *Chachary* są wśród nich jedną z wyróżniających się książek, nie tylko ze względu na status jej wydawcy, ale może bardziej przez to, że są chyba jedyną pozycją na rynku, która skupia się na dziejach konkretnego obszaru – regionu posiadającego głęboko zakorzoną w przeszłości specyfikę narodowościową, kulturową i wreszcie gospodarczą.

Mody intelektualne bywają ożywcze, nie tylko w naukach historycznych. Przyнося często konieczną zmianę perspektywy, energię i poczucie świeżości. Historia ludowa łączy się z postkolonializmem, badaniami nad przemocą, feminizmem, historią środowiskową, mikrohistorią czy historią mentalności, a dziś są to mocne kierunki w humanistyce. W tym sensie jest czymś więcej niż tylko modą, to realne poszerzenie pola widzenia. Autorom daje przekonanie o uczestnictwie w czymś nowym, postępowym, „światowym”, a czytelnicy chętnie sięgają po książki pisane w tym nurcie, chcąc uchodzić za dobrze poinformowanych, nadążać za aktualnymi trendami i unikać „wypadnięcia z obiegu”. Czasem staje się to gestem tożsamościowym: „jestem wrażliwy społecznie, więc czytam historię ludową”. To typowy mechanizm mody intelektualnej. Nie ma w tym nic złego. Tak było, jest i będzie.

Historia ludowa posiada realną wartość, gdyż zadaje pytania, na które wcześniej nie szukano odpowiedzi. W tym sęk, że jedna i ta sama rama nie pasuje do każdego obrazu. By ją dopasować, konieczne są uproszczenia, te zaś pozwalają pisać szybko i efektownie o rzeczach tak niezmiernie skomplikowanych jak np. społeczeństwo w przeszłości. Uproszczenia i hasłowe uogólnienia („opresyjny kler”, „ciemieźzony lud”) stają się etykietami, które dobrze się sprzedają. By zaskoczyć czytelnika, autorzy częstokroć grają na efektach emocjonalnych zamiast na żmudnej analizie źródeł.

Niestety tych u Zalegi jest jak na lekarstwo. Rzadko sięga do archiwaliów, a sygnatury archiwalne pojawiające się tu i ówdzie w przypisach są jak bakalie w cieście – generalnie nie zmieniają smaku. Autor zdaje się nie brać pod uwagę, że akta sądowe czy policyjne (podobnie jak po II wojnie światowej materiały wytworzone przez UB czy później SB), skupiając się na tym co nadzwyczajne, a nie pospolite, dają czę-

jagiellonski.pl/2025/10/31/patchwork-ludowa-historia-gornego-slaska-wedlug-dariusza-zalegi/ [dostęp: 1.12.2025].

sto zniekształcony obraz rzeczywistości społecznej. W przypadku *Chacharów* teksty źródłowe jedynie potwierdzają stanowisko autora, a on sprawnie „uszczelnia” nimi własną narrację. Brakuje wyjątków, kontrprzykładów i niejednoznaczności, a to właśnie one w historii badawczej zmuszają do korekty z góry założonego modelu. Tym samym liczne stwierdzenia i wnioski nie są konstrukcją naukową, lecz co najwyżej retoryczną. To nie nauka, a publicystyka. Wreszcie do wielu akapitów, również tych zawierających rzekomo „twarde” dane i nasyconych faktografią, nie ma przypisów, co nie pozwala dociec, z jakich źródeł czy literatury korzystał autor.

Swoją analizę stosunków społecznych i gospodarczych opiera on w dużej mierze na opracowaniach z czasów komunistycznych, w tym również tych z lat 50. XX wieku, pisanych zgodnie z założeniami materializmu historycznego w jego zwulgaryzowanej, stalinowskiej wersji. Sporadycznie sięga do nowszych opracowań, jednak i w tym przypadku stanowią one potwierdzenie wcześniej postawionej tezy. Literatura, która powstawała już po upadku komunizmu i zniesieniu cenzury, rzucającej nieco inne światło na przedstawiane przez Zalegę problemy, jest naprawdę sporo, jednak w przypisach pojawia się ona incydentalnie. Ochoczo czerpie on natomiast z opracowań z czasów PRL-u, pisanych w paradygmacie konfliktów klasowych. Ich autorzy pomijali złożoność struktur społecznych, by w ich miejsce ukazać wyraźny podział na wyzyskiwanych i wyzyskujących. Przepisane na nowo tezy z tych opracowań czasami jedynie okrasza publikacjami wydanymi po 1989 roku, jednak wydaje się, że nie jest to wynik ich szczegółowej i dogłębnej analizy, a przypadkowych, incydentalnych lektur. Tym samym narracja, którą Zalega raczy swoich czytelników, nie jest owocem nowych, solidnych badań archiwalnych, a opiera się przede wszystkim na opracowaniach, w znacznej mierze przestarzałych. Stąd zapewne liczne błędy merytoryczne, o których niżej. Zamiast analizy badawczej mamy za to liczne cytaty z literatury pięknej oraz odwołania do takich autorów jak Horst Bieniek, Szczepan Twardoch, a także do powieści Haliny Krachelskiej czy trylogii husyckiej Andrzeja Sapkowskiego, a to wszystko okraszone jest fragmentami *Wojny chłopskiej* Fryderyka Engelsa. Wszystko to tworzy intelektualny patchwork, któremu jednak daleko do kunsztownej tapiserii.

Trudno przy tym zgodzić się z autorem, który w kontekście historii ruchu komunistycznego po I wojnie światowej stwierdza, że „pamięć o tym została jednak wyparta, a dzieje międzywojennych radykałów i rewolucjonistów zepchnięto na margines poświęconej Górnemu Śląskowi historiografii” (s. 193). Po 1989 roku owszem, gdyż przez pół wieku odłogiem leżały inne, pierwszorzędne tematy, jednak gdy spojrzymy się na publikacje z okresu PRL-u, to przecież dominantą były w nich właśnie dzieje szeroko rozumianego ruchu robotniczego. Prace Kazimierza Popiołka, Jana Kantyki, Henryka Rechowicza, Jana Walczaka i wielu, wielu innych historyków oraz politologów są dziś niechlubnym spadkiem po epoce, kiedy fałszywa historia była mistrzynią fałszywej polityki.

Wymienieni autorzy – i nie tylko oni – wychodzili z założenia, że przeszłość była strukturalnie oparta na wyzysku oraz przemocy i do tej tezy wybiórczo dopasowywali materiały źródłowe. Zalega podąża ich śladem. Tym samym publicystyka historyczna (bo przecież nie nauka), którą uprawia, jest historią uprawomocnienia współczesnych narracji lewicowych, a nie opowieścią dążącą do w miarę obiektywnej rekonstrukcji przeszłości. Sam zresztą stwierdza, że „moja historia ludowa Górnego Śląska skupia się na zróżnicowanych formach wychodzenia ludu (przede wszystkim

chłopów i robotników) spod dominacji panów, kleru i władz państwowych. I mam tu na myśli zarówno dominację objawiającą się w różnych sferach życia codziennego, jak i wszelkie próby narzucenia sposobów myślenia i postrzegania świata, które sprawiały, że warstwy ludowe godziły się ze swoim losem” (s. 8). To zatem opowieść, w której z góry wiadomo, kto jest „dobry”, a kto „zły”. Elity („panowie, kler i władze państwowe”) to niezmiennie oprawcy, a lud („chłopi i robotnicy”) to wieczne ofiary. Grupy społeczne są zatem mocno osadzone w kategoriach moralnych, co wskazuje na publicystyczny, a nie naukowy charakter pisarstwa Zalegi. *Chachary* zdają się być zatem książką napisaną „w imię sprawiedliwości dziejowej”, co prowadzi wprost do wspomnianej wyżej narracji „winni– pokrzywdzeni”, ale jednocześnie utrudnia dostrzeżenie złożoności relacji społecznych w przeszłości, np. współzależności między warstwami. W historii badawczej relacje między grupami społecznymi są znacznie bardziej złożone, zmienne i kontekstowe. Zarówno tzw. elity, jak i lud, to nigdy nie były grupy homogeniczne. I tak wśród ludu byli zarówno buntownicy, jak i oportuniści, którzy korzystali z systemu. Większość jednak zdaje się nie mieścić ani w jednej, ani w drugiej kategorii, żyjąc z dnia na dzień, niekoniecznie w skrajnej biedzie, nędzy i wyzysku. Również elity nie były jednorodne – bywały wśród nich jednostki oraz całe grupy konfliktowe, reformatorskie, idące „pod prąd”, a nawet sprzyjające emancypacji. Tymczasem Zalega stwierdza, że:

(...) chachar to ktoś z dołów społecznych. Ktoś, kto nie mieści się w ustalonych normach. Ktoś, kto je przekracza. Słowem ktoś podejrzany. Czy ludowa historia Górnego Śląska może opowiadać o kimś innym niż on? Kto będzie bohaterem opowieści, która wychodzi poza grzeczne, ugodzone i krzepiące obrazy? Ino chachar. Motłoch, plebs, tłuszcza, dziady... wsioki i robole. A naprzeciw byli ci panowie, po których zostały piękne pałace albo chociaż ich ruiny. (s. 7).

Historia ludowa ma na celu oddawać głos „ludziom z dołu”. Taki cel zdaje się przyświecać również autorowi *Chacharów*. Paradoksalnie ów lud, pomimo paru cytatów z pamiętników i osobistych egzemplifikacji, jawi się jednak jako ofiara strukturalnego przymusu, bez realnej sprawczości, własnej inicjatywy i możliwości indywidualnych wyborów. A przecież to nieprawda. Wielu przedstawicieli tegoż ludu zmieniało miejsca zamieszkania, pracę, emigrowało ze wsi do miast oraz opuszczało swoją „małą ojczyznę”, szukając szczęścia i lepszego życia w innych częściach Europy, a nawet za Oceanem.

Przejaskrawiony, a jednocześnie uproszczony obraz przeszłości służy Zaledze do legitymizacji postaw współczesnych, co najwyraźniej widać w ostatnich rozdziałach i zakończeniu, w którym wyraźnie dostrzec można zastąpienie pytania „jak było?” pytaniem „kto ma dziś rację?” Temu służy zabieg odwrócenia symbolicznych hierarchii i uznania nowych grup protestu (np. uczestniczek strajku kobiet) za moralnych spadkobierców (moralne spadkobierczynie?) wyzyskiwanego ludu.

Ocena przeszłości jest u Zalegi wyraźnie prezentystyczna. Tam, gdzie dokonuje on oceny zdarzeń, faktów, poglądów i ocen z przeszłości, czyni to ze współczesnej perspektywy. Innymi słowy ocenia przeszłość miarą współczesnych kategorii etycznych, czego skutkiem są błędne interpretacje i umieszczanie wydarzeń w fałszywych kontekstach – co było *nota bene* charakterystyczne dla marksistowskiej historiografii.

Skupiając się niemal wyłącznie na wyzysku, cierpieniu i przymusie, pomniejsza rolę modernizacji, postępu technologicznego, wzrostu znaczenia instytucji publicznych, przemian gospodarki, jak i systemów społeczno-politycznych. W *Chacharach* dominuje zatem narracja zbudowana głównie na negacji, przy czym autor czasami przeczy sam sobie, np. kiedy pisze o wyzysku i niedoli górników w czasach późnej nowożytności, by na następnej stronie wskazać na pojawienie się w tym samym czasie ustawodawstwa, które nie tylko regulowało status zawodowy tej grupy, ale zapewniało jej szereg przywilejów i tworzyło podwaliny pod nowoczesną opiekę społeczną (s. 44–45).

Zalega nie rozumie i nie chce zrozumieć roli religii i Kościoła w społeczeństwie. Jest on dla niego wyłącznie instytucją przymusu i opresji, wspierającą władzę i służącą jej do społecznej kontroli. Stwierdza m.in., że „szeroka sieć organizacji prowadzących działalność w obrębie różnych grup (robotnicy, kobiety, dzieci) pozwalała hierarchii kościelnej na lepszą kontrolę społeczności lokalnych” (s. 105), co jest głęboko nietrafionym odczytaniem społecznych funkcji wspólnot religijnych. Nie znajdziemy w *Chacharach* informacji o licznych konfesyjnych organizacjach i związkach robotniczych, których działalność daleko wykraczała poza kościelną kruchę, zwłaszcza w okresach wymagających wzmożonej dobroczynności czy organizowania zawodowej bądź sąsiedzkiej samopomocy. Nie ma nic o edukacyjnej roli związków wyznaniowych, które na długo przed nastaniem państwa „demokracji ludowej” walczyły z analfabetyzmem i kształcąc dzieci „z ludu”, otwierały im możliwość awansu, nie tylko – jak twierdzi Zalega – w strukturach duchowieństwa. Brakuje wreszcie informacji o ruchach trzeźwościowych i roli Kościoła w zwalczaniu alkoholizmu, co zwłaszcza na Górnym Śląsku było w pewnym momencie istotnym elementem pracy duszpasterskiej.

Tym bardziej, że problem pijaństwa pojawia się na kartach książki, a alkohol, zdaniem jej autora, „pozwalal choć na chwilę uciec od świata nieoferującego żadnych nadziei na przyszłość. Przy wódce z kolegami z pracy można było ponarzekać na marny los” (s. 76). Skoro tak było w czasach wyzysku i nietolerancji, to co zatem skłaniało do sięgania po butelkę z wódką osoby żyjące w owym „najlepszym z możliwych światów”, w państwie opartym o „sojusz robotniczo-chłopski”, kiedy przyszłość jawiła się jako niedalekie spełnienie obietnicy ziemskiego raju? I wreszcie co dziś, w świecie daleko przecież innym, wciąż skłania setki tysięcy, jeśli nie miliony Polaków, do odurzenia się każdego dnia różnymi roztworami spożywczego etanolu? Warto sobie zadać to pytanie, zwłaszcza w kontekście ludzkiej skłonności do uciekania „w sztuczne raje”. Szukanie jej wytłumaczenia li tylko w stosunkach społeczno-ekonomicznych jest daleko idącym uproszczeniem.

Korzystanie z przestarzałych opracowań oraz powierzchowna analiza nowszej historiografii są zapewne główną przyczyną błędów merytorycznych, których w *Chacharach* jest niemało. I tak na przykład na stronie 43. czytamy, że „w 1796 roku w Gliwicach zbudowano pierwszy na kontynencie europejskim piec hutniczy na koks”. Sprawa nie jest jednak tak oczywista, jak to przedstawiali dumni z osiągnięć pruskiego przemysłu niemieccy historycy, a powtarzali za nimi po wojnie lokalni dziejopisarze. Badacze dziejów przemysłu wskazują dziś na niewielką miejscowość Hayange w Lotaryngii, gdzie już w 1769 roku, a więc 27 lat wcześniej, Antoine-Gabriel Jars uruchomił piec hutniczy opalany koksem, *nota bene* również wykorzystując wzorce z Wysp Brytyjskich.

Czy Górnolązacy „zazwyczaj wybierali dwujęzyczność”, bowiem „byli pragmatyczni”, jak twierdzi Zalega (s. 78), czy może po prostu byli dwujęzyczni, a ów bilingwizm był koniecznością, a nie wyborem?

Idąc za opracowaniem Józefa Popkiewicza z 1966 roku, autor *Chacharów* uważa, że Górny Śląsk w okresie międzywojennym „nie miał większego znaczenia w przemyśle niemieckim” (s. 190), a jako przykład podaje niski udział Śląska Opolskiego w ogólnej produkcji przemysłowej Niemiec. Co więcej, stwierdza, że w czasie II wojny światowej postępowała marginalizacja Górnego Śląska w gospodarce Niemiec. Należałoby po pierwsze wyjaśnić, co autor rozumie przez Śląsk Opolski i Górny Śląsk oraz w jakim okresie. Tym bardziej, że w latach 30., a zwłaszcza po klęsce Polski w wojnie obronnej w 1939 roku, obszar górnego i środkowego biegu Odry oraz górnego biegu Wisły podlegał licznym zmianom administracyjnym. W każdym razie udział przemysłu na obszarze Górnoląskiego Okręgu Przemysłowego w produkcji surowców oraz elementów kutych, odlewanych i walcowanych w czasie II wojny światowej kształtował się na poziomie ok. 10–20% produkcji przemysłowej III Rzeszy, łącznie z terenami anektowanymi na Zachodzie (co jest kluczowe w takich kalkulacjach). Twierdzenie, że „w czasie II wojny światowej postępowała marginalizacja Górnego Śląska w gospodarce Niemiec” (s. 215) jest fałszywe chociażby z uwagi na konsekwencje wojny powietrznej i fakt, że *Oberschlesisches Industriegebiet* aż do momentu opanowania Włoch przez aliantów latem 1944 roku pozostawał poza zasięgiem brytyjskiego lotnictwa. Dlatego sukcesywnie przenoszono tu przemysł z zachodnich i środkowych Niemiec, co trwało w zasadzie aż do rozpoczęcia przez Armię Czerwoną operacji wiślańsko-odrzańskiej. Problem ten szczegółowo opracował i opisał Mirosław Sikora w książce wydanej w 2007 roku.

Byłbym ostrożny ze stwierdzeniem, że w odróżnieniu od Śląska „na większości ziem polskich nadejście wojsk radzieckich witano jako wyzwolenie od hitlerowskiego terroru” (s. 219).

Podawane przez Zalegę pojedyncze przykłady rzekomo udaremnionych prób zniszczenia górnoląskiej infrastruktury przemysłowej przez wycofujących się Niemców nie zmieniają faktu, że generalnie przemysł w regionie przetrwał przejście frontu bez większych strat. Szacunki (na które autor powołuje się w przypisie, *nota bene* bez informacji skąd je zaczerpnął), że do poważnych zniszczeń doszło w 2 124 zakładach (s. 220), nie mogą być uznane za skutek działań służb czy wojsk niemieckich. W powojennych opracowaniach do strat wojennych wliczano również sowieckie demontaże i zniszczenia dokonane przez czerwonoarmistów po przejściu frontu i to one, a nie działalność wycofujących się Niemców były przyczyną większości strat górnoląskiego przemysłu. Obraz rzekomych niemieckich zniszczeń jest nieprawdziwy, co wynika zarówno z zachowanych źródeł archiwalnych, jak i z najnowszych ustaleń badaczy.

O internowaniach i wywóźce autor napisał, że spośród wywiezionych do łagrów co najmniej 40 tys. osób, które w 1945 roku deportowano, „większość wywiezionych przepadła na Wschodzie” (s. 222). Tymczasem z badań doktora Dariusza Węgrzyna, dostępnych na długo przed ukazaniem się *Chacharów*, wynika, że spośród aresztowanych zmarło 21,7% osób internowanych i deportowanych w 1945 roku do Związku Sowieckiego. To nie większość, a nieco ponad jedna piąta.

Szkoda, że pisząc o tzw. obozie pracy w Świętochłowicach-Zgodzie, autor nie wspomniał, iż był to obóz założony i prowadzony przez Urząd Bezpieczeństwa

Publicznego (s. 222). Na następnej stronie czytamy, że „22 lutego 1946 r. oficjalnie wykonano pierwszy po zakończeniu wojny wyrok śmierci w Polsce. W katowickim więzieniu powieszono Karola Kurpanika z Nowego Bytomia” (s. 223). Nic bardziej mylnego. Wyroki śmierci wydawane przez sądy wojskowe wykonywano na terenie tzw. Polski Lubelskiej od razu po ukonstytuowaniu się PKWN, a pierwsze wykonanie wyroku śmierci orzeczonego przez katowicki Specjalny Sąd Karny miało miejsce 27 kwietnia 1945 roku w więzieniu w Mysłowicach. Powieszono wówczas Wiktora Słowika i Emanuela Ciupkę, o czym zresztą pisała ówczesna prasa.

Rozważania o rzekomym awansie, zwalczaniu analfabetyzmu i o tym, że „w tych mrocznych, stalinowskich czasach dokonywała się prawdziwa rewolucja edukacyjna” (s. 230), można by pominąć milczeniem, gdyby nie fakt, że w tym samym czasie w krajach Europy Zachodniej taka sama rewolucja edukacyjna dokonywała się bez wszechobecnego terroru, represji, przepełnionych więzień i szafowania wyrokami śmierci. Równie kuriozalne, co nieprawdziwe jest zdanie, że w okresie stalinizmu „co prawda życie polityczne krępował coraz ciaśniejszy gorset, ale robotnicy w poszczególnych fabrykach czy kopalniach potrafili wykorzystać różne instrumenty do obrony swoich praw i godności” (s. 232). Przeczą temu badania dotyczące roli tzw. referatów ochrony przemysłu w zakładach pracy czy niezwykle represyjne działania Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. Upominanie się o prawa i godności pracownicze było traktowane jako działalność „kontrrewolucyjna”, a wszelkie formy oporu i załężki buntu zwalczano z całą bezwzględnością.

O Jerzym Ziętku autor napisał, że „wrócił ze wschodu w mundurze oficera dowodzonej przez Berlinga 1 Armii Polskiej” (s. 234). Aż prosi się, by dopowiedzieć, że w mundurze oficera polityczno-wychowawczego, bowiem istniała fundamentalna różnica pomiędzy oficerami liniowymi a politrukami. Ponadto, kiedy Jerzy Ziętek w randze podpułkownika pod koniec stycznia wrócił na Górny Śląsk, 1. Armia Polska już nie istniała. Rozformowana 21 lipca 1944 roku została przekształcona w 1. Armię Wojska Polskiego, a jej dowódcą nie był już Zygmunt Berling, a gen. dyw. Stanisław Popławski. Nieznajomość szczegółów z życia Jerzego Ziętka ujawnia się również na kolejnych stronach. I tak na przykład dowiadujemy się, że w 1956 roku „Jerzy Ziętek, były powstaniec został nowym wojewodą katowickim” (s. 244). Tyle tylko, że w latach 1950–1973 w Polsce nie istniało stanowisko wojewody, a jego rolę, w dużym uproszczeniu, pełnił przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. W 1956 roku urząd ten w Katowicach sprawował jednak nie Ziętek, a Ryszard Nieszporek. „Jorg” zastąpił Nieszporka dopiero wiosną 1964 roku, a funkcję wojewody katowickiego objął pod koniec 1973 roku. Są to rażące błędy jak na kogoś, kto nie raz powtarzał publicznie, że jest „fanem Jerzego Ziętka”, a w prowadzonym przez siebie barze z wyszynkiem umieścił wizerunek „Jorga” trącającego się kuflem z... Che Guevarą.

Kuriozalny jest akapit, w którym autor stwierdza, że „początkowo relacje pomiędzy PPR i Kościołem układały się pomyślnie. (...) Sytuację zmieniło dopiero orędzie Episkopatu z 10 września 1946 r. zakazujące katolikom wstępowania do organizacji »sprzecznych z nauką chrześcijańską«. Stosunki między władzami a hierarchią kościelną stały się napięte” (s. 236).

Od orędzia Episkopatu ważniejszy i bardziej nagłaśniany przez komunistyczną propagandę był dekret Świętego Oficjum z 1 lipca 1949 roku, stwierdzający, że nie

można być jednocześnie członkiem partii komunistycznej i katolikiem. Niestety, trudno orzec na jakiej literaturze przedmiotu oparł się autor, ale świadczy to dobitnie o braku znajomości najnowszych opracowań dotyczących stosunków państwo-Kościół w Polsce po II wojnie światowej.

Również rozważania o tzw. socjalistycznym współzawodnictwie pracy nie wytrzymują konfrontacji z najnowszą literaturą przedmiotu. Trzeba naprawdę sporej dozy naiwności, by naprawdę wierzyć, że „27 lipca 1947 r. Wincenty Pstrowski, repatriant z Belgii, rębacz z zabrzańskiej kopalni »Jadwiga« rzucił hasło współzawodnictwa pracy, a aparat propagandy zrobił z tego właściwy użytek” (s. 237). Analiza źródeł wskazuje, że bynajmniej nie była to samodzielna inicjatywa Pstrowskiego. Z informacją o rzekomym sukcesie współzawodnictwa pracy Zalega powiązał zdanie, w którym stwierdza, że „tempo pracy w kopalniach rosło i już w 1948 roku Polska znalazła się w nielicznym gronie państw, które osiągnęły przedwojenny poziom wydobywania” (s. 237). Jak wynika chociażby z obliczeń Jędrzeja Chumińskiego, wyniki wydobywania nie miały nic wspólnego ze współzawodnictwem pracy, a jedyne do czego przyczynił się ów podziemny wyścig na przodkach, to zwiększenie liczby wypadków. Za wzrost poziomu wydobywania odpowiadali natomiast nie górnicy pracujący „wzorem Stachanowa”, a było to efektem wykorzystywania niewolniczej siły roboczej. Autor co prawda przyznaje, że „w górnośląskich kopalniach brakowało górników, więc od 20 do 50% załóg dołowych stanowili pracownicy skoszarowani czyli żołnierze, junacy, albo więźniowie” (s. 237), zapomina jednak o najważniejszej grupie robotników przymusowych, którzy do 1949 roku przebywali masowo w przykopalnianych obozach – jeńcach niemieckich. To ich miejsce zajęli następnie żołnierze Wojskowego Korpusu Górniczego i więźniowie.

Uproszczeń i lapsusów jest w tekście więcej. Nie sposób zgodzić się, że „w dłuższej perspektywie system czterobrygadowy, mający pomóc w osiągnięciu magicznej liczby dwustu milionów ton wydobytego węgla rocznie, doprowadził do największych protestów robotniczych w historii Śląska, które wybuchły w 1980 roku” (s. 248). System czterobrygadowy nie był ani główną, ani jedyną przyczyną protestów w 1980 roku. Poza tym nie były one wyłącznie robotnicze. Fenomen Sierpnia 1980 i tzw. rewolucji „Solidarności” wydaje się nie do końca pasować do stworzonego przez autora obrazu, stąd zaledwie szkicuje go muśnięciami pędzla. Podobnie jak lakonicznie wspomina o wysłaniu w grudniu 1981 roku przez władzę „ludową” czołgów przeciwko strajkującym górnikom.

Symptomatycznym jest zdanie umieszczone w jednym z ostatnich rozdziałów, w którym autor napisał, że „po 1989 roku musiało się ono [społeczeństwo] zmierzyć z problemami jakich w swej historii Śląsk jeszcze nigdy nie poznał – z bezrobociem i deindustrializacją” (s. 255). Jak się zatem ma do tego stwierdzenia umieszczony w tej samej książce rozdział, który został poświęcony okresowi międzywojennemu, a zatytułowany „Apokalipsa bezrobocia”?

Czas chyba zdjąć nogę z gazu. Historiografia nie lubi pośpiechu. Profesor Andrzej Friszke miał kiedyś powiedzieć o swoich młodszych kolegach po fachu, że powinni mniej pisać, a więcej czytać. Po lekturze *Chacharów* uważam, że ich autor powinien sobie to stwierdzenie wziąć do serca. Może zatem lepiej, że zajął się ostatnio pisaniem historii alternatywnej?